

ALEXIS
HENDERSON

*Cztery wiedźmy,
cztery ostrzeżenia,
cztery klątwy*

GODZINA
WIEDŹM



ALEXIS
HENDERSON

GODZINA WIEDZM

PRZEŁOŻYŁ

Przemysław Hejmej



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Year of the Witching

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Monika Kardasz
Korekta: Adam Osiński
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © GB_Art, © natagalitskaia / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © natagalitskaia / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

The Year of the Witching
Copyright © 2020 by Alexis Henderson
All rights reserved.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiecte Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Przemysław Hejmej, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67137-18-8

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl





Ze światła wyszedł Ojciec. Z ciemności Matka.
To jest zarazem początek i koniec.

- ŚWIĘTE PISMA

Immanuelle Moore klęczała u stóp ołtarza z dłońmi złożonymi do modlitwy i otwartymi ustami. Nad nią wznosił się prorok w szatach z czarnego aksamitu, z głową pokrytą szczeciną i wyciągniętymi na bok zakrwawionymi rękoma.

Przyglądała mu się bacznie, śledząc długą, poszarpaną bliznę, która biegła krzywizną po jednej stronie jego szyi, i myślała o swojej matce.

Prorok odwrócił się od niej jednym płynnym ruchem. Szaty zaszeleściły, gdy stawał twarzą do ołtarza, na którym leżało wypatroszone jagnię. Przyłożył rękę do głowy zwierzęcia, po czym wsunął palce głęboko w ranę. Kiedy ponownie odwrócił się do Immanuelle, z nadgarstka pociekła mu krew i znikła w mroku rękawa. Kilka kropel spadło pod stopy, na poplamione deski podłogi. Malował dziewczynę krwią. Jego palce,

ciepłe i mocne, wędrowały od zagłębienia nad górną wargą w kierunku podbródka. Zatrzymał się na chwilę, jak gdyby chciał złapać oddech, a kiedy się odezwał, głos miał chropawy.

– Oto krew wiernych.

Immanuelle ją zlizwała. Poczowała sól i żelazo. Wstała.

– Na chwałę Ojca.

Wracając na swoje miejsce w ławce, uważała, aby nie spojrzeć na jagnię. Należało do stada jej dziadka, przyniosła je poprzedniego wieczoru, gdy katedra stała jeszcze pusta i ciemna, jako ofiarę. Samego zarzynania nie widziała; wymówiła się pod byle pretekstem i wycofała na zewnątrz na długo, nim apostołowie wzniesli swoje noże. Wszystko jednak słyszała – modlitwy i mamrotanie zagłuszane przez krzyki jagnięcia, podobne do krzyków nowo narodzonego dziecka.

Immanuelle obserwowała pozostałych członków własnej rodziny, którzy posuwali się wraz z procesją, aby otrzymać odrobinę krwi. Pierwsza szła jej siostra Sława, która po chwili padła na kolana, obdarzając proroka uśmiechem. Matka Sławy, Anna, młodsza z dwóch żon Moore'a, przyjęła błogosławieństwo pospiesznie, popędzając swą drugą córkę, Honor, która zlizywała z ust krew niczym miód. Na końcu szła Marta, pierwsza żona i zarazem babcia Immanuelle. Ta przyjęła błogosławieństwo proroka z uniesionymi ramionami i drżącą palców, z ciałem owładniętym mocą Ojcowskiego światła.

Immanuelle żałowała, że nie reaguje w taki sposób jak babcia. Siedząc w ławce, czuła jedynie pozostałości jagnięcej krwi na wargach, jej ciepło oraz ustawiczny stukot własnego serca. Na jej ramionach nie usadowił się żaden anioł. Wnętrza nie mącił żaden duch ani bóg.

Gdy ostatni członek zgromadzenia w końcu usiadł, prorok podniósł ramiona ku krokwiom dachowym i rozpoczął modlitwę:

– Ojcie, przychodzimy do Ciebie jako słudzy i wyznawcy, gotowi wykonać powierzoną nam pracę.

Immanuelle szybko pochyliła głowę i mocno zacisnęła powieki.

– Być może są wśród nas tacy, którzy oddalili się od wiary przodków, obojętni na dotyk Ojca, głusi na Jego głos. W ich imieniu modłę się o miłosierdzie. Proszę, żeby znaleźli pociechę nie w mrokach Matki, lecz w Ojcowskiej światłości.

Na te słowa Immanuelle uchyliła powiekę – przez krótką chwilę była pewna, mogłaby wręcz przysiąc, że spojrzenie proroka spoczywało właśnie na niej. Oczy miał szeroko otwarte w ekstazie modlitwy, wpatrzone prosto w nią między pochylonymi głowami i drżącymi ramionami innych. Kiedy spotkali się wzrokiem, natychmiast umknął.

– Niech trwa królestwo Ojca.

Grupa wiernych odpowiedziała jednym głosem:

– Teraz i na wieki.

Immanuelle leżała na brzegu rzeki ze swoją przyjaciółką Leah, ramię przy ramieniu, spijając ciepłe promienie południowego słońca. Kilka metrów dalej pozostali członkowie ich wspólnoty religijnej toczyli życie towarzyskie. Dla większości z nich cień sabatowego uboju już się rozwiął, stał odległym wspomnieniem. Panował spokój i zgromadzeni zdawali się z tego faktu zadowoleni.

Leżąca obok Immanuelle Leah przewróciła się na plecy i wpatrywała w grube wały chmur majaczących nad głową.

Była ubraną w błękitny szyfon pięknnością, wietrzyk łagodnie wzdymał jej suknię.

– To dobry dzień – powiedziała, uśmiechając się, kiedy bryza targnęła jej włosami.

W Świętych Pismach i w opowieściach, w witrażowych oknach katedry oraz na obrazach, które zwisały z jej kamiennych ścian, anioły zawsze wyglądały tak jak Leah: złotowłose i niebieskookie, odziane w delikatne jedwabie i atłasy, o pełnych policzkach oraz skórze bladej jak perły.

Jeśli zaś chodzi o dziewczyny takie jak Immanuelle – pochodzące z Peryferii, śniade, z kruczoczarnymi lokami i kośćmi policzkowymi jakby wyciętymi z kamienia – no cóż, Pisma nigdy o nich nie wspominały. Nie było ich posągów, figur ani portretów, nie pisano o nich wierszy, na ich cześć nie tworzone eposów. Pozostawały bezimienne i niewidoczne.

Immanuelle spróbowała odsunąć od siebie te myśli. Nie chciała czuć zazdrości o przyjaciółkę. Jeśli na tym świecie istniał ktoś, kto w pełni zasługiwał na miłość i podziw, to właśnie Leah. Leah ze swoją cierpliwością, Leah pełna cnót. Leah, która – gdy wszystkie inne dzieci w szkole śmiały się z Immanuelle i nazywały ją owocem grzechu – przemaszerowała przez całe boisko, ujęła ją mocno za rękę, po czym własnym rękawem otarła jej łzy.

Leah, przyjaciółka. Jedyna, jaką miała.

Poza tym trudno było odmówić jej racji: to był faktycznie dobry dzień. Niemal idealny, gdyby nie to, że należał do ostatnich. Ostatnich sabatów, które spędzały razem.

Od wielu lat w każde święto spotykały się po zakończeniu nabożeństwa. Zimą tuliły się do siebie w pustych ławkach na tyłach katedry i plotkowały dla zabicia czasu. Natomiast

w ciepłych porach roku Leah przynosiła wielki piknikowy kosz wypakowany ciastem ze swojej rodzinnej wiejskiej piekarni. Przy odrobinie szczęścia trafiały się rozmaite herbatniki, biszkopty, słodkie bułeczki, rożki i kruche ciasteczka, a w najlepsze dni – fragment plastra miodu albo dżem do pieczywa. Wspólnie znajdowały miejsce nad strumieniem, jadły, gadały i chichotały, dopóki rodziny nie kazały im wracać do domów. Stało się to utartym zwyczajem, ich małą tradycją, jak gdyby podczas tych długich popołudni na łące świat zaczynał się i kończył właśnie tam, nad rzeką. Jednakże jak większość tego, co dobre – Immanuelle zdawała sobie z tego sprawę – także i to nie mogło trwać wiecznie. Za dwa tygodnie Leah miała wyjść za proroła. Owego dnia, po pieczętowaniu, stanie się towarzyszką swego męża, nie Immanuelle.

– Będę tęsknić za dniami takimi jak ten – powiedziała Leah, przerywając ciszę. – Za słodyczami, sabatem, za byciem tutaj z tobą.

Immanuelle wzruszyła ramionami, skubiąc źdźbła trawy. Jej wzrok podążył za nurtem rzeki, po łagodnie falujących równinach, przez trzciny, aż rozlał się na daleki las i tam utknął w cieniach. W szumie płynącej między drzewami wody było coś takiego, że zapragnęła wstać i ruszyć jej śladem.

– Wszystko, co dobre, szybko się kończy.

– Nic się nie kończy – poprawiła ją Leah. – Wszystko dopiero się zaczyna. Dorastamy.

– Dorastamy? – zachnęła się Immanuelle. – Ja nawet jeszcze nie krwawiłam.

Była to prawda. Miała już prawie siedemnaście lat, ale nie doświadczyła jeszcze menstruacji. Inne dziewczyny w jej wieku już dawno miesiączkowały, lecz nie Immanuelle. Immanuelle

ani razu. Kilka miesięcy temu Marta uznała ją za bezpłodną: miała nigdy nie doczekać okresu, nie wyjść za mąż, nie rodzić dzieci. Pozostać taką jak teraz, podczas gdy wszystkie inne dorosną, wyprzedzą ją, pozostawią w tyle. Tak jak za parę krótkich tygodni Leah. Była to tylko kwestia czasu.

– Któregoś dnia zaczniesz – stwierdziła przyjaciółka stanowczo, jak gdyby sama deklaracja miała moc sprawczą. – Poczekaj jeszcze trochę. Choroba minie.

– To nie choroba – rzuciła Immanuelle, czując na wargach wyrazisty posmak jagnięcej krwi. – To grzech.

Ale jaki konkretnie, tego nie była pewna. Wiele razy chadzała błędnymi drogami – czytała potajemnie, łamała Święte Reguły, zapominała odmawiać wieczornych modlitw, zasypiała bez błogosławieństwa. Być może również zbyt wiele poranków na pastwiskach spędzała na myśleniu o niebieskich migdałach, choć powinna była doglądać owiec. Gdy na kolację podawano jej miskę zimnego kleiku, nie umiała okazać wdzięczności. Lecz wiedziała jedno: grzechów popełniła bez liku. Nic zatem dziwnego, że nie otrzymała błogosławieństwa Ojcowskiej krwi.

Gdyby Leah była naprawdę świadoma licznych występków Immanuelle, z pewnością by o nich nie wspominała. Tymczasem zbyła je wszystkie machnięciem ręki.

– Grzechy się przebacza. Jeśli Dobry Ojciec uzna to za stosowne, wkrótce zaczniesz miesiączkować. A potem weźmie cię jakiś mężczyzna, ty staniesz się jego, on twój i wszystko się ułoży, zobaczysz.

Immanuelle nie odpowiedziała. Zmrużyła zalane słońcem oczy i zagapiła się na pole, gdzie w otoczeniu swych żon stał prorok, rozdając błogosławieństwa oraz oferując zebrany

wiernym porady. Wszystkie małżonki nosiły jednakowe ni-
jakie suknie barwy żonkili, a także ślad świętej pieczęci, czyli
wyciętą między brwiami ośmioramienną gwiazdę. Tak w dniu
ślubu naznaczano kobiety z Betel.

– Już wołałabym zajmować się owcami – oświadczyła Im-
manuelle.

– A jak się zestarzejesz? – Leah nie ustępowała. – Co wtedy?

– Wtedy stanę się starą pasterką. Starą wiedźmą od owiec.
Leah się roześmiała, głośno i ładnie, przyciągając spojrze-
nia. Umiała to robić.

– A jeśli jakiś mężczyzna zaproponuje ci małżeństwo?

Zapytana uśmiechnęła się ironicznie.

– Żaden dobry mężczyzna, mający gust i wycucie, nie bę-
dzie chciał mieć ze mną nic wspólnego.

– Bzdury.

Spojrzenie Immanuelle powędrowało w kierunku grup-
ki młodych mężczyzn i kobiet, mniej więcej jej rówieśników,
może nieznacznie starszych. Obserwowała ich flirty i żarty, to,
jak robią z siebie widowisko. Chłopcy wypinali piersi, dziew-
częta bawiły się w płycznach strumienia, podwijając spódni-
ce wysoko nad kolana pod naporem nurtu i uważając, by nie
dać się porwać zbyt daleko, ze strachu przed diabłami, które
czaiły się w głębinach.

– Wiesz, że nie przestanę cię odwiedzać – powiedziała
Leah, jakby wyczuła obawy przyjaciółki. – Będziemy się wi-
dywać w sabat, a po moim zamążpójściu zacznę przychodzić
na twoje pastwisko. Nawet raz na tydzień, jeśli się uda.

Immanuelle przeniosła uwagę na jedzenie, które mia-
ły przed sobą. Wzięła z piknikowego kosza kawałek chle-
ba i posmarowała go świeżo ubitym masłem oraz krwawym

rozmazem malinowego dżemu. Odgryzła solidny kęs i odpowiedziała bełkotliwie, z pełnymi ustami.

– Ze Świątych Terenów do Przesieki długa droga.

– Trudno.

– To już nie będzie to samo – mruknęła Immanuelle. W jej głosie dało się słyszeć nutkę nadąsania, za którą natychmiast się znienawidziła.

Leah pochyliła głowę, sprawiała wrażenie dotkniętej. Kciukiem okręcała pierścionek na palcu prawej ręki; ów nerwowy tik pojawił się u niej zaraz po zaręczynach. Pierścionek był cackiem, złotym okręgiem wysadzonym niewielką rzeczną perłą, pewnie należał do którejś z poprzednich żon proroka i teraz przeszedł na następną.

– Nam wystarczy – odezwała się głucho Leah. A potem dodała bardziej stanowczo, jakby chciała przekonać samą siebie: – Będzie musiało nam wystarczyć. Jeśli trzeba, przyjadę nawet na jego własnym koniu, ale znajdę drogę do ciebie. Nie pozwolę, żeby coś się między nami zmieniło. Przysięgam.

Immanuelle chciała jej wierzyć, jednak zbyt dobrze rozpoznawała kłamstwo. Słyszała teraz w głosie Leah nutkę fałszu, ale nie wspomniała o tym. Nic by to nie dało: Leah została przeznaczona prorokowi, i to od dnia, gdy dwa lata temu po raz pierwszy padł na nią jego wzrok. Pierścionek, który nosiła, był po prostu symbolem, zapowiedzią, obietnicą splecioną ze złota. W stosownym czasie obietnica ta miała przybrać postać nasienia, jakie on w niej zasadzi. Leah urodzi dziecko, prorok zasieje kolejne ziarno i tak dalej, podobnie jak uczynił to ze wszystkimi swoimi żonami, póki były jeszcze na tyle młode, by rodzić owoce.

– Leah!



*Sięgnij po
więcej!*



www.wydawnictwokobiece.pl



kobiece



wydawnictwo.kobiece